



# MASKA CTHULHU

AUGUST  
DERLETH



MASKA  
ETHULHU



# MASKA ETHULHU

AUGUST DERLETH

Z języka angielskiego przełożył i tekst opracował:

Radosław Jarosiński

Posłowie:

Mikołaj Kołyszko

WYDAWNICTWO  
**IX**  
Kraków 2020

Tytuł: *Maska Cthulhu*  
Tytuł oryginału: *The Mask of Cthulhu*

Autor: August Derleth

Copyright © 1962 by August Derleth

Copyright for the Polish translation  
© 2020 by Radosław Jarosiński, na podstawie wydania z 1962 r.

Copyright for the cover art  
© Krzysztof Wroński & Wydawnictwo IX

All rights reserved.

Wydawca: Krzysztof Biliński, Wydawnictwo IX

Przekład i opracowanie: Radosław Jarosiński

Posłowie: Mikołaj Kołyszko

Redakcja: Katarzyna Koćma, Adam Wieczorek

Korekta: Krzysztof Biliński

Projekt, skład, łamanie i przygotowanie do druku: Krzysztof Biliński

Ilustracja na okładce: Krzysztof Wroński

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być w jakikolwiek sposób powielana bez zgody wydawcy, za wyjątkiem krótkich fragmentów użytych na potrzeby recenzji oraz artykułów.

Wydawnictwo IX  
biuro@wydawnictwoix.pl  
wydawnictwoix.pl  
Kraków 2020

Wydanie I

ISBN 978-83-957400-0-8 (oprawa twarda)

ISBN 978-83-957400-1-5 (oprawa miękka)

SPIS TREŚCI



WSTĘP

9

POWRÓT HASTURA  
(THE RETURN OF HASTUR)

II

WZGÓRZA LELKÓW  
(THE WHIPPOORWILLS IN THE HILLS)

47

RZECZ Z DREWNA  
(SOMETHING IN WOOD)

85

UKŁAD SANDWINA  
(THE SANDWIN COMPACT)

103

DOM W DOLINIE  
(THE HOUSE IN THE VALLEY)

133

PIECZĘĆ Z R'LYEH  
(THE SEAL OF R'LYEH)

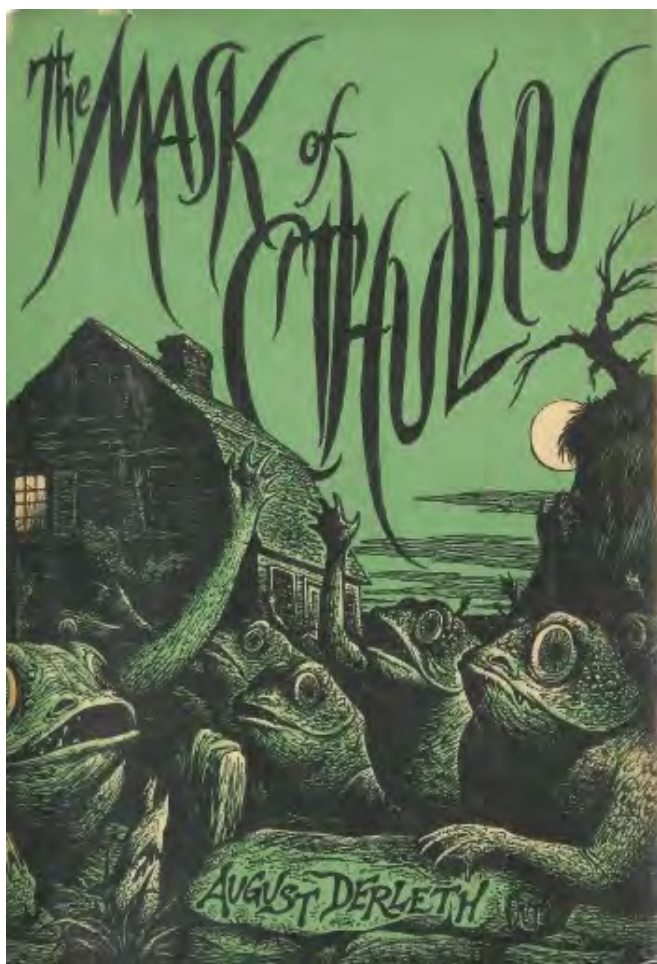
167

TAK, DERLETH NAS OSZUKAŁ - ALE JEDNAK BYŁ WIELKI  
(POSŁOWIE: MIKOŁAJ KOŁYSZKO)





*Pamięci  
Howarda Philipa Lovecrafta,  
w którego dziełach znajduje się początek tych opowieści.*



## Wstęp

Opowiadania, zawarte w niniejszej książce, nawiązują w oczywisty sposób do twórczości H.P. Lovecrafta. Jedno z nich – *Powrót Hastura* – zaczęło powstawać jeszcze przed śmiercią pisarza, który miał wgląd do pierwszych stron i zarysu dalszej fabuły, zasugerował również szereg poprawek, które z ochotą wprowadziłem do wspomnianego tekstu. Pozostałe opowiadania także wywodzą się bezpośrednio z Mitologii Cthulhu, stworzonej przez Lovecrafta, który miał w zwyczaju zachęcać swych przyjaciół pisarzy, by ją poszerzali.

Opowieści te zostały napisane na przestrzeni dwóch dekad, począwszy od *Powrotu Hastura* w roku 1936, skończywszy na *Pieczeni z R'lyeh*, która narodziła się i została spisana w Los Angeles latem 1953 roku. Podczas gdy reszta opowiadań stworzona jest na wzór Lovecraftowski, jedno z nich, *Dom w Dolinie*, zawdzięcza swoje powstanie scenie ze szkicu autorstwa dobrego karykaturzysty, Richarda Taylora, którego grafika zdobi okładkę tej książki\*.

Zawarte na jej kartach opowieści stanowią pewnego rodzaju *postscriptum*, napisane w hołdzie dla twórczej wyobraźni zmarłego H.P. Lovecrafta.

*August Derleth*

---

\* Okładkę polskiego wydania stworzył Krzysztof Wroński, wersję oryginalną dla celów pełnego opracowania książki zamieszczamy obok.



# Powrót Hastura





## I

**W**łaściwie wszystko zaczęło się dość dawno temu. Nie śmiem nawet zgadywać, jak bardzo dawno. Co się zaś tyczy mojego udziału w tej sprawie, która zrujnowała mnie zawodowo i nadwątlila wiarę we własne zdrowie psychiczne, to jej początek nastąpił wraz ze śmiercią Amosa Tuttle'a. Stało się to późnozimową nocą, przy wtórze południowego wiatru wiejącego już na krawędzi wiosny. Przebywałem tego dnia w starym, opanowanym przez legendy Arkham, on zaś dowiedział się o mojej obecności od opiekującego się nim doktora Ephraima Sprague'a i skłonił go, by zadzwonił do Lewiston House, gdzie się zatrzymałem i sprowadził mnie do owego posępnego domostwa przy Aylesbury Road w pobliżu zjazdu do Innsmouth. Nie miałem ochoty tam jechać, lecz starzec obiecał sowite wynagrodzenie w zamian za wyrozumiałość dla jego chmurnego charakteru i ekscentryczności, a Sprague postawił sprawę jasno – właśnie umierał: była to więc kwestia godzin.

W istocie ledwo starczało mu sił, by odprawić z pokoju Sprague'a i ze mną porozmawiać, choć mówił dość wyraźnie i bez większego wysiłku.

— Znasz moją ostatnią wolę — rzekł. — Spełnij ją co do joty.

Jego testament stanowił kość niezgody między nami, stało w nim bowiem, że przed przekazaniem posiadłości

spadkobiercy i jedynemu żyjącemu krewnemu, Paulowi Tuttle, musi ona zostać zniszczona – nie rozebrana, lecz zniszczona wraz z pewnymi książkami znajdującymi się na ponumerowanych w jego ostatniej instrukcji półkach. Ponieważ spoczywał na łożu śmierci, nie był to odpowiedni czas, by dyskutować z zachcianką. Kiwnąłem głową i przystałem na to. Na Boga, trzeba mi było spełnić obietnicę bez chwili wahania!

— A zatem — ciągnął — na dole znajduje się księga, którą musisz zwrócić do biblioteki Uniwersytetu Miskatonic.

Podał mi tytuł. W tamtej chwili niewiele mówiący, lecz od tego czasu dowiedziałem się o nim więcej, niż mogę powiedzieć. Był to symbol starodawnej, przyprawiającej o utratę zmysłów grozy, kryjącej się poza zwiewnym welonem codziennego, prozaicznego życia – łaciński przekład odrażającego *Necronomiconu* autorstwa szalonego Araba, Abdula Alhazreda.

Odnalazłem wolumin z łatwością. Przez dwie ostatnie dekady życia Amos Tuttle coraz bardziej się izolował, otaczając księgami ze wszystkich stron świata – starymi, toczonymi przez robactwo tekstami o odstraszających tytułach i treści: złowieszcze *De Vermis Mysteriis* Ludwiga Prinna, straszne *Cultes de Ghoules* Comte'a d'Erlette'a i piekielne *Unaussprechlichen Kulten* von Junzta. Nie wiedziałem wtedy, jak bardzo są cenne, nie zdawałem sobie również sprawy z unikatowości luźnych pergaminów: przerażającej *Księgi Eibona*, *Rękopisów Pnakotycznych* i złowieszczego *Tekstu z R'lyeh*. Warto napomknąć przy okazji wyliczania tych pozycji, że po przestudiowaniu rachunków zmarłego Amosa Tuttle'a okazało się, że zapłacił za nie niewyobrażalne sumy. Żadna jednak nie dorównywała cenie *Tekstu z R'lyeh*, nadesłanego z jakiegoś mrocznego zakątka Azji. Według notatek wyłożył za niego ni mniej, ni więcej, tylko sto tysięcy dolarów. Znajdowała się tam również odnosząca się do tego poźółkłego rękopisu notatka, która mnie



wtedy zaintrygowała, dzięki czemu ją zapamiętałem – po wspomnianej wyżej sumie Amos Tuttle dokonał swą pajęczą ręką następującego wpisu: *dodatkowo w zamian za obietnicę.*

Te fakty nie wyszły na jaw, zanim Paul Tuttle nie objął spadku, lecz przedtem miało miejsce kilka dziwnych incydentów, które w połączeniu z miejscowymi legendami o jakiejś nadnaturalnej aurze oddziałującej na stary dom, powinny wzbudzić moje podejrzenia.

Pierwszy z nich był jeszcze błahy. Przy zwrocie *Necronomiconu* do biblioteki Uniwersytetu Miskatonic w Arkham zostałem mianowicie poprowadzony przez milczącego jak grób bibliotekarza prosto do biura dyrektora, doktora Llanfera, który zażądał wyjaśnień, w jaki sposób księga znalazła się w moich rękach. Nie miałem potrzeby tego ukrywać, ale dowiedziałem się, że ten unikatowy wolumin nigdy nie powinien opuścić gmachu biblioteki, zaś Amos Tuttle tak naprawdę wykradł go podczas jednej ze swych rzadkich wizyt, gdy nie udało mu się przekonać doktora Llanfera, by pozwolił mu go wypożyczyć. Mało tego, Amos był na tyle przebiegły, by spreparować na podmianę doskonałą imitację księgi z prawie identyczną oprawą, odtworzoną z pamięci kartą tytułową oraz kilkoma stronami tekstu. Kiedy dostał księgę szalonego Araba do rąk, wykorzystał okazję, podstawił makietę w zamian za oryginał i odszedł z kopią tego przygnębiającego dzieła, jedną z dwóch w Ameryce Północnej i pięciu znanych na całym świecie.

Druga sprawa była odrobinę bardziej niepokojąca i nosiła oznaki klasycznych opowieści o nawiedzonych miejscach. Nocą, kiedy w domu spoczywało jeszcze ciało wuja, zarówno Paul Tuttle jak i ja słyszeliśmy miarowy odgłos kroków, lecz było w nich coś dziwnego. Absolutnie nie dało się ustalić ich źródła. Brzmiały jak kroki istoty o wymiarach przekraczających ludzkie wyobrażenie, spacerującej gdzieś głęboko *pod ziemią*, a ich pogłos

właściwie *odbijał się echem* w całym budynku. Odgłosy te porównałem do kroków jedynie z braku lepszego słowa na opisanie dźwięków, których nie wydawały płaskie podeszwy, lecz coś gąbczastego, galaretowatego, uderzającego z chlupotem w podłoże tak silnie, że aż drżała w tym miejscu ziemia. Wszystko ucichło dość nagle w godzinach porannych, kiedy ciało Amosa Tuttle'a zostało zabrane; czterdzieści osiem godzin wcześniej, niż planowaliśmy. Zlekceważyliśmy to zjawisko, uznając je za efekt osuwania się ziemi wzdłuż odległego wybrzeża. Poza tym naszą uwagę przykuło inne, ostatnie już wydarzenie, które miało miejsce w starym domu na Aylesbury Road, zanim Paul Tuttle oficjalnie objął go w posiadanie.

Było wyjątkowo szokujące, a spośród trzech osób, które poznały prawdę, tylko ja pozostaję jeszcze przy życiu. Doktor Sprague, zmarły miesiąc później, jak tylko rzucił okiem na trupa, zarządził: „Pochowajcie go natychmiast!”. Tak uczyniliśmy, gdyż niezwykle zmiany na ciele Amosa Tuttle'a przechodziły ludzkie pojęcie, budząc nadzwyczaj odrażające skojarzenia, choć nie zostało dotknięte rozkładem. Zaszły w nim ledwie zauważalne zmiany innego rodzaju – w pierw nasyciło się szybko blednącą, dziwną opalizacją, ustępującą rychło hebanowej barwie, następnie na jego powierzchni, nabrzmiąłych rękach i twarzy pojawiły się łuskowate narośla. Głowa również przybrała inny kształt – wydłużyła się i zaczęła przypominać rybią, czemu towarzyszył słabo wprawdzie, ale wyczuwalny rybi odór z trumny. Natomiast fakt, że owe metamorfozy nie były zwykłym złudzeniem, znalazł swe potwierdzenie w szokujących okolicznościach, kiedy ciało zaginęło i zostało następnie znalezione w miejscu, gdzie przetransportował je złowrogi porywacz. Tam, pomimo zaawansowanego rozkładu, straszne i sugestywne zmiany zauważyli również inni, choć pozostawali w błogosławionej niewiedzy na temat tego, co działo się wcześniej. Niemniej w czasie, kiedy Amos Tuttle spoczywał jeszcze w starym domu, nic nie

zapowiadało późniejszych wypadków, zatem pospiesznie zatrzasnęliśmy trumnę i jeszcze szybciej zabraliśmy ją na cmentarz Arkham, do spowitej bluszczem krypty Tuttle'ów.

Paul Tuttle był w owym czasie sporo po czterdziestce, lecz jak wielu mężczyzn swego pokolenia miał twarz i sylwetkę dwudziestoletniego młodzieńca. W istocie jedynie smugi siwizny na wąsach i skroniach zdradzały jego prawdziwy wiek. Jawił się jako wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, z lekką nadwagą, o szczerych, niebieskich oczach, których lata badań naukowych nie przyprawiły o konieczność noszenia okularów. Nie był jednak ignorantem w kwestiach prawnych, gdyż szybko mi uświadomił, że jeśli jako wykonawca woli jego wuja nie przymknę oka na klauzulę zobowiązującą mnie do zniszczenia domu przy Aylesbury Road, on podważy prawnie testament, argumentując ten fakt niepoczytalnością Amosa Tuttle'a. Zauważyłem wprawdzie, że w tym wypadku słowa jego jednego będą świadczyć przeciwko zeznaniom moim i doktora Sprague'a, lecz nie mogłem zignorować faktu, że absurdalność ostatniej woli zmarłego może nas z łatwością pogrążyć. Poza tym sam żywiłem wątpliwości co do spełnienia tej zdumiewającej zachcianki i nie miałem zamiaru o taką drobnostkę toczyć sądowej batalii. Gdybym mógł przewidzieć choćby w snach konsekwencje tej decyzji, spełniłbym ostatnią wolę Amosa Tuttle'a, nie zważając na decyzję sądu. Jednak przewidywanie nie było moją mocną stroną.

Udaliśmy się z Tuttle'em do sędziego Wiltona i przedłożyliśmy mu sprawę. Przyznał nam rację, iż zniszczenie domu wydaje się bezcelowe i zgodził się ze zdaniem Paula Tuttle'a, że jego zmarły wuj mógł być niepoczytalny.

— Stary był stuknięty, odkąd go znałem — rzekł sucho. — A pan, panie Haddon, może z całą pewnością przysiąc, że był w pełni normalny?

Mając w pamięci krępujące odkrycie kradzieży *Necronomiconu* z Uniwersytetu Miskatonic, przyznałem, że nie.

Tak więc Paul Tuttle wszedł w posiadanie domostwa przy Aylesbury Road, a ja, usatysfakcjonowany takim obrotem sprawy, powróciłem do swoich spraw w Bostonie, jednak nie bez pewnego podświadomego, trudnego do zdefiniowania przeczucia nadchodzącej tragedii, podsyćanego wspomnieniem tego, co widzieliśmy w trumnie Amosa Tuttle'a, zanim zapieczętowaliśmy ją i zamknęliśmy w wiekowej krypcie na cmentarzu w Arkham.

## II

Przez jakiś czas nie miałem okazji oglądać mansardowych dachów i georgiańskich balustrad przekłętego przez wiedźmy Arkham. Przybyłem tu na zlecenie jednego z moich klientów, który chciał, abym sprawdził, czy jego posiadłość w starym Innsmouth została zabezpieczona przed agentami rządowymi, kontrolującymi opuszczone i nawiedzone miasto, choć minęło już kilka miesięcy od zagadkowej akcji wysadzania dynamitem osiedla przybrzeżnych budynków i części złowieszczej Diabelskiej Rafy pod powierzchnią morza – wydarzeń wtedy pieczołowicie ukrywanych. Trafiłem wówczas na artykuł w gazecie autorstwa pewnego pisarza z Providence, którego wydawcy zarzekali się, że jest przekazem mających tam miejsce faktów. Dojazd do Innsmouth był wtenczas niemożliwy, ponieważ funkcjonariusze Secret Service zamknęli wszystkie drogi. Jednakowoż skontaktowałem się z właściwymi osobami i otrzymałem zapewnienie, że posiadłość mojego klienta będzie należycie zabezpieczona, pomimo że i tak leżała w znacznej odległości od wybrzeża. Zająłem się zatem innymi drobnymi sprawami w Arkham.

Udałem się tego dnia na lunch do małej restauracyjki niedaleko Uniwersytetu Miskatonic i siedząc przy stoliku, usłyszałem znajomy głos. Podniosłem głowę i ujrzałem doktora Llanfera, dyrektora biblioteki uniwersyteckiej.

Był wyraźnie poruszony, a na jego twarzy malował się niepokój. Odmówił, gdy zaproponowałem mu miejsce przy stoliku, przysiadł jednak na krawędzi krzesła.

— Był pan już może u Paula Tuttle'a? — spytał zniechęta.

— Zamierzałem udać się do niego po południu — odpowiedziałem. — Coś się stało?

Poczerwieniał jak ktoś przyłapany na jakimś niecnym występku.

— Nie mogę o tym mówić — odparł dobitnie — lecz po Arkham krążą obrzydliwe plotki. A *Necronomicon* znów przepadł.

— Wielkie nieba! Ale chyba nie oskarża pana Paula Tuttle'a o to, że go zabrał!? — wykrzyknąłem na wpół zaskoczony, na wpół rozbawiony. — Nie wyobrażam sobie, cóż miałby z nim począć.

— A mimo to właśnie on go posiada. — Doktor Llanfer sprawiał wrażenie pewnego siebie. — Nie twierdzę jednak, że go ukradł i nie chciałbym, żeby tak pan odebrał moje słowa. Sądzę, że jeden z naszych pracowników mu go wydał i nie bardzo chce się teraz przyznać do pomyłki. Tak czy inaczej, książka do nas nie wróciła i obawiam się, że będziemy musieli się po nią wybrać.

— Mógłbym spytać go o nią — rzekłem.

— Byłbym wdzięczny, gdyby był pan łaskaw. — Moją propozycję doktor Llanfer podchwycił nader skwapliwie. — Zakładam, że nie słyszał pan żadnych krążących tu plotek?

Potrząsnąłem głową.

— Najprawdopodobniej są jedynie wynikiem czyjejś wybujałej fantazji — ciągnął, lecz dało się wyczuć, że sam nie za bardzo się skłania do przyjęcia tak prozaicznego wyjaśnienia.

— Zdarza się, iż przechodnie słyszą dziwne odgłosy, dochodzące późną nocą ewidentnie z domostwa Tuttle'a przy Aylesbury Road.

— Jakiego rodzaju odgłosy? — spytałem zdjęty na głym niepokojem.

— Podobno są to kroki. Chociaż, jak zrozumiałem, nikt jednoznacznie ich w ten sposób nie określił, prócz jednego młodzieńca, który scharakteryzował je jako *roz-mokłe* i dodał, iż brzmiały, jakby *w pobliżu coś dużego cho-dziło po mule i wodzie*.

Wspomnienie owych dziwnych odgłosów, które słyszeliśmy z Paulem Tuttle w noc po śmierci Amosa Tuttle'a zatarło się w mej pamięci, lecz kiedy doktor Llanfer o nich napomknął, powróciło w pełni. Obawiam się, że nieco poniosły mnie emocje, gdyż doktor Llanfer zauważył moje nagłe zainteresowanie. Na szczęście uznał je za dowód, że tak naprawdę, wbrew temu, co mu powiedziałem, coś jednak o tych pogłoskach wiem. Nie zamierzałem w tej kwestii wyprowadzać go z błędu, ani nie miałem ochoty dalej ciągnąć za język. Wstał zatem, by powrócić do swoich zajęć, licząc, że wypytam Paula o zagubioną księgę.

Jego opowieść, choć niewiele wносиła, wzbudziła we mnie cień zaniepokojenia. Nic nie mogłem poradzić na to, że w pamięci nadal miałem liczne, drobne z pozoru sprawy – słyszane przez nas kroki, dziwną klauzulę w testamencie Amosa Tuttle'a oraz ohydłą metamorfozę jego ciała. W moim umyśle narodziło się nieśmiałe podejrzenie, że wszystko to łączy się w jakiś złowieszczy łańcuch wydarzeń, co wprawdzie pobudziło moją wrodzoną ciekawość, jednakowoż nie bez uczucia pewnej niechęci i podświadomego pragnienia, by dać tej sprawie spokój. Towarzyszył temu nawrót dziwnego, natarczywego przecucia zbliżającej się nieuchronnie tragedii.

Zdecydowałem się jak najszybciej spotkać z Paulem Tuttle. Interesy, w których przyjechałem do Arkham, zajęły mi całe popołudnie i zapadł już zmierzch, kiedy stanąłem w końcu przed masywnymi, dębowymi drzwiami domu starego Tuttle'a przy Aylesbury Road. W odpowiedzi na moje natarczywe pukanie na progu pojawił

się we własnej osobie Paul, wyglądając w gęstniejącą noc z uniesioną w rękę wysoko do góry lampą.

— Haddon! — wykrzyknął, otwierając drzwi szerzej. — Wejdz!

Nie uległo wątpliwości, że był szczerze zadowolony z mojej wizyty, entuzjazm w jego głosie nie budził najmniejszych wątpliwości. Serdeczność jego powitania utwierdziła mnie także w przekonaniu, by nie poruszać na razie tematu zasłyszanych pogłosek i przejść do sprawy *Necronomiconu*, kiedy nadejdzie stosowna chwila. Przypomniałem sobie, że zanim zmarł jego wuj, Tuttle pracował nad traktatem filozoficznym związanym z rozwojem języka Indian z plemienia Sauków, zdecydowałem więc, że zapytam o tę pracę, tak jakby wizyta, jaką mu złożyłem, była czysto towarzyska.

— Jak sądzę, jesteś już po kolacji — rzekł Tuttle, prowadząc mnie przez hol w kierunku biblioteki.

Przyznałem, że jadłem już w Arkham.

Odstawił lampę na zawalony książkami stół, zgarniając na jedną jego stronę stos papierów, po czym zaprosił mnie, bym usiadł i sam zajął miejsce, z którego ewidentnie przed chwilą wstał, by mi otworzyć. Zauważyłem że jest nieco zaniedbany i zarośnięty. Przybrał też na wadze, co bez wątpienia było wynikiem nasilonych studiów, ciągłego przebywania w domu i braku fizycznych zajęć.

— Jak postępy traktatu o Saukach? — zapytałem.

— Na razie odłożyłem go na bok — rzekł krótko. — Zajmę się nim później. W tej chwili natknąłem się na coś o wiele poważniejszego, jednak na razie nie mogę powiedzieć jak bardzo.

Dopiero teraz zauważyłem, że zalegające na stole książki nie były zwyczajnymi podręcznikami, które widywałem na jego biurku w Ipswich, a w miarę jak się im przyglądałem, zaczęło do mnie docierać, że to prawdopodobnie księgi, które wuj Tuttle'a dosadną instrukcją przeznaczył do zniszczenia, co znalazło potwierdzenie w szybkim spojrzeniu na luki w ponumerowanych półkach.

Tuttle zwrócił się do mnie niemal z zapalem i zniżył ton, jak gdyby obawiał się, że ktoś go podsłucha.

— W rzeczy samej, Haddon, natrafiłem na coś wielkiego – coś ponad wszelkie wyobrażenie, choć skoro o tym mowa, nie jestem dłużej pewien, czy jest to tylko wyobrażenie, o nie. Zastanawiałem się nad tą klauzulą w testamencie wuja. Nie mogłem pojąć, czemu chciał, by dom zburzono. Skojarzyłem, że powód musi znajdować na stronach tych książek, których zniszczenia tak pieczołowicie chciał dopilnować. — Machnął ręką w kierunku leżących przed nim inkunabułów. — Przestudiowałem je więc i mogę ci powiedzieć, że odkryłem rzeczy nadzwyczaj dziwne, a zarazem straszne tak bardzo, iż waham się czasem, czy brnąć głębiej w ową zagadkę. Mówiąc szczerze, Haddon, jest to najbardziej *dziwaczna* sprawa, na jaką się kiedykolwiek natknąłem i muszę przyznać, iż wymaga wyteżonych badań, wykraczających poza wiedzę, którą wuj Amos zgromadził w tych książkach.

— Doprawdy — rzekłem sucho. — Zaryzykuję więc stwierdzenie, że wymagało to licznych podróży?

Potrząsnął głową.

— Absolutnie nie, jeśli nie liczyć jednego wypadu do biblioteki Uniwersytetu Miskatonic. Tak naprawdę zdałem sobie sprawę, że większość materiałów mogę zdobyć drogą pocztową. Pamiętasz papiery mojego wuja? Odkryłem w nich, że zapłacił sto tysięcy za pewien zagraniczny manuskrypt – oprawiony w ludzką skórę, nawiasem mówiąc – wraz z tajemniczym dopiskiem: *dotatkowo w zamian za obietnicę*. Zacząłem sobie zadawać pytanie, jaką to i komu obietnicę mógł dać wuj Amos? Mężczyźnie lub kobiecie, od której zakupił ów *Tekst z R'lyeh*, czy może komuś innemu. Bezzwłocznie przystąpiłem do poszukiwań nazwiska sprzedawcy książki i wkrótce znalazłem je wraz z adresem. Był to jakiś chiński mnich ze środkowego Tybetu. Napisałem więc do niego, a odpowiedź dotarła tydzień temu.



Schylił się i zaczął gmerać pobieżnie w papierach na biurku, aż znalazł to, czego szukał i wręczył mi.

— Napisałem w imieniu wuja, sugerując, iż ogarnęły mnie wątpliwości co do całej transakcji, ponadto tak dobrałem słowa, by można było z nich wysnuć, że albo zapomniałem o obietnicy, albo chcę się od niej uchylić — mówił dalej. — Odpowiedź była równie tajemnicza, co notatka wuja.

Istotnie, sfatygowany papier, który mi podał, zawierał jedynie linijkę dziwnego, smukłego tekstu, bez podpisu ani daty: *By zapewnić schronienie Temu, Którego Imienia Nie Należy Wypowiadać.*

Spojrzałem na Tuttle'a, a w moich oczach zapewne odmalowało się zaskoczenie, gdyż uśmiechnął się, zanim odpowiedział.

— Nic ci to nie mówi, co? To tak, jak i mnie, gdy pierwszy raz to przeczytałem. Ale nie na długo. Żeby zrozumieć, o co tu chodzi, powinieneś zapoznać się choćby pobieżnie z zarysem mitologii – o ile w istocie *jest* to tylko mitologia – w której ta zagadka ma swoje korzenie. Mój wuj Amos wiedział sporo na ten temat, gdyż rozmaite notatki porozrzucane na marginesach jego zakazanych ksiąg świadczą o wiedzy daleko większej niż moja. Najwyraźniej mitologia wyrasta z tego samego źródła, co nasza legendarna księga *Genesis*, lecz podobieństwa są powierzchowne. Czasem kusi mnie, by stwierdzić, że ta mitologia jest starsza niż jakakolwiek inna – z pewnością jej ramy sięgają o wiele dalej, są kosmiczne i ponadczasowe, natura tych bytów jest dwoista i występują tylko dwa: Pradawni albo Przedwieczni, Starsi Bogowie *kosmicznego dobra* i *kosmicznego zła*, noszący wiele imion, dzielący się na różne grupy, poniekąd związane z żywiołami, a jednak wykraczające poza nie. Mowa tu o Istotach Wodnych, skrywających się w głębinach, Powietrznych Wędrowcach poza czasem. Owe istoty zdołały przetrwać na Ziemi przez potworne, odległe eony.

Niewyobrażalnie dawno temu Przedwieczni wypędzili z kosmicznych zakątków wszystkich Niegodziwych, skazując ich na uwięzienie, lecz po jakimś czasie Niegodziwi rozesłali swe piekielne sługi, aby czynili przygotowania do powrotu ich wielkości. Przedwieczni są bezimienni, lecz ich moc i woła najwyraźniej zawsze były dostatecznie silne, by powstrzymać antagonistów. Wśród Niegodziwych często wybucha konflikt, tak samo jak wśród ostatnich istot. Wodne Istoty ścierają się z Powietrznymi; Ogniste z Ziemi, lecz wszystkie łączy nienawiść i strach przed Starszymi Bogami i cały czas żywią nadzieję, że pokonają ich w przyszłości. Wśród papierów mojego wuja Amosa znaleźć można wiele przerażających nazw, zapisanych w jego zawiłych rękopisach: *Wielki Cthulhu*, *jezioro Hali*, *Tsathoggua*, *Yog-Sothoth*, *Nyarlathep*, *Azathoth*, *Hastur Nieopisywalny*, *Yuggoth*, *Aldones*, *Thale*, *Aldebaran*, *Hiady*, *Carcosa* i inne. Można podzielić niektóre z tych nazw na dość sugestywne klasy na podstawie notatek, które są dla mnie zrozumiałe – choć wielu obecnych tu niezgłębionych zagadek nie jestem w stanie na razie przeniknąć. Wiele także jest zapisanych językiem, którego nie znam, towarzyszą im dziwne i przerażające symbole oraz znaki. Z tego, co się dowiedziałem, można wnioskować, iż Wielki Cthulhu jest jedną z Wodnych Istot, natomiast Hastur jedną z istot czających się w przestrzeni międzygwiazdnej. Z napomknięć w tych zakazanych księgach można wysnuć, gdzie niektóre z tych istot przebywają. Zgodnie z tą mitologią Wielki Cthulhu został wypędzony do miejsca pod powierzchnią ziemskich mórz, zaś Hastur wyrzucony w przestrzeń, tam gdzie *wiszą czarne gwiazdy*, co oznacza Aldebarana w pasie Hiad, o czym wzmiankuje Chambers, powtarzając także za Bierce'em nazwę Carcosa.

Poczynając od korespondencji z tybetańskim mnichem, w świetle tych spraw jeden fakt poza wszelką wątpliwość jest jasny: Haddon, bez cienia wątpliwości Ten, Którego Imienia Nie Należy Wypowiadać, nie może być nikiem innym, jak tylko Hasturem Nieopisywalnym!

Zwiesił nagle głos, a mnie przeszły dreszcze. Było coś hipnotycznego w jego żarliwym szepcie. Coś, co wprawiało mnie w podekscytowanie wykraczające daleko poza siłę słów Paula Tuttle'a. Gdzieś głęboko w zakątkach mojego umysłu poruszona została jakaś struna, mnemoniczny łącznik, którego nie mogłem zignorować ani zinterpretować, uświadamiający mi istnienie zawieszonych w ogromie nieskończoności kosmicznych mostów prowadzących w inne wymiary i czas.

— To brzmi logicznie — przyznałem w końcu ostrożnie.

— Logicznie, Haddon, tak *jest!* Musi być! — wykrzyknął.

— No można tak powiedzieć — rzekłem. — Co dalej?

— Można powiedzieć — podjął szybko — że zgodziliśmy się co do tego, iż wuj Amos obiecał przygotować schronienie na powrót Hastura z jakiegoś miejsca w przestrzeni, w którym go uwięziono. Nie myślałem jeszcze nad tym, gdzie to ma nastąpić i jakiego rodzaju to miejsce, lecz myślę, iż można się tego domyślać. Nie ma czasu na zgadywanie, jednakowoż ze znanych mi źródeł i kilku dowodów, które mam w zasięgu ręki, można kilka rzeczy wydedukować. Pierwszą i najważniejszą cechą jest ich dwosta natura – *ergo*, coś nieprzewidzianego powstrzymywało Hastura przed powrotem za życia mojego wuja, gdy swoją obecność zmanifestowały inne byty.

W tym momencie spojrzał na mnie z niezwykłą szczerością i nie bez lekkiego podenerwowania.

— Jeśli chodzi o dowody tej manifestacji, wołałbym w tej chwili ich nie roztrząsać. Dość powiedzieć, iż zda je mi się, że mam je w zasięgu ręki. Powrócę zatem do głównego tematu. Pośród kilku notatek poczynionych na marginesach przez mojego wuja, dwie lub trzy szczególnie niezwykle znajdują się z w *Tekście z R'lyeh*; tak naprawdę w świetle tego, co wiadomo i co można domniemywać, są one wyjątkowo niepokojące i złowróźbne.

Mówiąc to, rozwinął starodawny manuskrypt i wskazał miejsce na początku tekstu.

— Teraz słuchaj mnie uważnie, Haddon — rzekł, a ja wstałem i nachyliłem się nad nim, by wejrzeć w pajęczę, prawie niezycytelne pismo Amosa Tuttle’a.

— Przypatrz się podkreślonej linijce tekstu: *Ph’nglui mglw’nafh Cthulhu R’lyeh wgah’nagl fhtagn* oraz temu, co następuje dalej i bez wątpienia pisane jest ręką mego wuja: *jego słudzy przygotowują drogę, a on nadal śni?* (WT: 2/28), i – wnosząc z drżenia jego ręki – aktualniejszy wpis, a w zasadzie skrót: *Inns!*. Oczywiście to nic nie znaczy bez znajomości tłumaczenia tego wersu. Z początku mi się to nie udało, skupiłem więc uwagę na literach zamieszczonym w nawiasie, a po krótkiej chwili odgadłem ich znaczenie. Odnoszą się one mianowicie do tytułu popularnego magazynu „Weird Tales” z lutego 1928. Mam go tutaj.

Otworzył magazyn nad niezrozumiałym tekstem, częściowo skrywając wersy, które zdążyły w moich oczach nabrać zagadkowej aury nadprzyrodzonej wiekowości, po czym jego dłoń spoczęła na pierwszej stronie historii, w aż nadto oczywisty sposób nawiązującej do tej niewiarygodnej mitologii, zafascynowania którą nie byłem w stanie już stłumić.

Tytuł częściowo zakrytego ręką opowiadania brzmiał *Zew Cthulhu*, zaś jego autorem był H.P. Lovecraft. Tuttle nie zatrzymał się na pierwszej stronie, ale przewrócił kilka następnych, docierając do serca opowiadania, aż moim oczom ukazał się ów niezrozumiały wers, identyczny z tym, który znajdował się w ledwo czytelnym rękopisie Amosa Tuttle’a z niezwykle rzadkiego *Tekstu z R’lyeh*, na którym spoczywał magazyn. I tu linijkę niżej pojawiło się zdanie, będące rzekomym tłumaczeniem z absolutnie nieznanego języka *Tekstu*: *W swym domu w R’lyeh śniąc czeka martwy Cthulhu*<sup>\*</sup>.

<sup>\*</sup> Przekład za: M. Płaza [w:] H.P. Lovecraft, *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści*, Wydawnictwo Vesper, Poznań 2012, s. 103.

— Oto i on — podjął Tuttle nie bez satysfakcji. — Cthulhu również czekał na swe odrodzenie — nikt nie wie od jak wielu eonów, lecz mój wuj domyślił się, gdzie ów Cthulhu nadal leży w uśpieniu i kierując się tym odkryciem, poczynił podkreślone podwójną linią skróty, które mogą oznaczać jedynie Innsmouth! Tutaj, pospołu z plugastwami wzmiankowanymi w tym demaskatorskim opowiadaniu, będącym rzekomo tylko *fikcją*, objawia się obraz niewysłowionej grozy wiekowego zła.

— Wielkie nieba! — wykrzyknąłem bezwiednie. — Naprawdę uważasz, że ta fantazja może okazać się prawdą?

Tuttle odwrócił się do mnie i spojrzał nieobecnym wzrokiem.

— To, co ja uważam, nie ma znaczenia, Haddon — odrzekł posępnie. — Ale jest jedna rzecz, którą chciałbym w tym momencie wiedzieć: co wydarzyło się w Innsmouth? Co tam się działo od tak wielu lat, że ludzie zaczęli go unikać? Czemu ten niegdyś świetnie prosperujący port popadł w zapomnienie, połowa domów opustoszała, a posiadłości są praktycznie bez wartości? I czemu rząd uznał za konieczne wysadzenie jednego po drugim zabudowań i magazynów wzdłuż wybrzeża? Wreszcie, po co u licha wysyłali łódź podwodną, by storpedowała podmorskie obszary pod Diabelską Rafą tuż obok Innsmouth?

— Nie mam zielonego pojęcia — odpowiedziałem.

Nie zwrócił na to uwagi. Jego podniesiony głos drżał niepewnie, gdy rzekł:

— Powiem ci, Haddon. Pisał o tym nawet mój wuj Amos: Wielki Cthulhu znów powstał!

Przez moment opanowało mnie drżenie, po czym założyłem:

— Przecież on miał czekać na Hastura.

— Bez wątplenia — Tuttle przytaknął zdawkowo. — A zatem chętnie bym się dowiedział, kto albo co przemierza Ziemię w mrocznej godzinie, kiedy wszędzie Fomalhaut, a na wschodzie pojawiają się Hiady!

### III

W tym momencie nagle zmienił temat. Zaczął wypytywać o mnie i moją praktykę, a niedługo potem, kiedy się podniosłem do wyjścia, poprosił bym został na noc. Przystąpiłem na to dość niechętnie, po czym wyszedł, by przygotować dla mnie pokój. Wykorzystałem sposobność, by przetrząsnąć uważniej jego biurko w poszukiwaniu zaginionego z biblioteki Uniwersytetu Miskatonic *Necronomiconu*. Nie było go tam, znalazłem jednak ów wolumin, przejrawszy półki. Wziąłem go właśnie do rąk, by się upewnić co do jego autentyczności, kiedy Tuttle wszedł do pokoju. Rzucił szybkie spojrzenie na trzymaną przeze mnie książkę i uśmiechnął się półgębkiem.

— Chciałbym, abys go rano zwrócił doktorowi Llanferowi, Haddon — rzekł od niechcienia. — Skopiowałem już tekst, nie jest mi dłużej potrzebny.

— Z chęcią — odrzekłem z ulgą, ciesząc się, że sprawę udało się tak łatwo rozwiązać.

Niedługo potem udałem się na spoczynek do przygotowanego dla mnie pokoju na drugim piętrze. Mój przyjaciel towarzyszył mi do samych drzwi, zatrzymał się na chwilę, jakby miał już coś na końcu języka, co nie chciało mu przejść przez gardło, zakręcił dwa razy, życząc mi dobrej nocy, aż w końcu wydusił to, co zalegało mu w myślach:

— Przy okazji — gdybyś coś w nocy usłyszał, nie przejmuj się tym, Haddon. Cokolwiek by to nie było, jest nieszkodliwe. Dobranoc.

Zaraz potem odszedł, zostawiając mnie sam na sam z tymi dziwnymi słowami. Dotarło do mnie, że owe niestworzone historie krążące po Arkham, znajdują swoje potwierdzenie, a relacja Tuttle'a nie była pozbawiona sensu. Zdjąłem bez pośpiechu odzież i wślizgnąłem się w przygotowaną przez Paula piżamę, ani na chwilę nie przestając

myśleć o niesamowitej mitologii Amosa Tuttle'a i przedziwnych księgach. Nie miałem w zwyczaju spieszyć się z wydawaniem osądów, więc nie zamierzałem ulec tej skłonności i teraz. Pomimo całej swej oczywistej absurdalności sprawa opierała się na tyle mocnych przesłankach, że zasługiwała na coś więcej niż powierzchowne zainteresowanie. Wiedziałem, iż Tuttle był przekonany raczej bardziej niż mniej, że to prawda. Już to starczyło, by dać mi do myślenia, gdyż Paul Tuttle wyróżniał się za każdym razem skrupulatnością podczas prowadzonych przez siebie badań, a jego opublikowane prace nie były kwestionowane nawet w najdrobniejszych szczegółach. Biorąc pod uwagę te argumenty, byłem gotów przynajmniej przyznać, że istniały pewne podstawy, aby uznać system mitologiczny zarysowany mi przez Tuttle'a, lecz wolałem się wstrzymać od przyjęcia jego prawdziwości lub fałszu bez próby analizowania sprawy samemu, gdyż jak człowiek już raz w myślach przyzna czemuś rację bądź to zaneguje, po dwakroć, a nawet po trzykroć trudniej jest mu odstąpić od swego przekonania, jakby nie było trudno go dowieść.

Rozmyślając, położyłem się do łóżka i oczekiwałem na nadejście snu. Zapadła głęboka i ciemna noc, choć przez cienkie zasłonki w oknach można było dostrzec gwiazdy, zawieszoną wysoko na wschodzie Andromedę oraz inne konstelacje pojawiające się na jesiennym nieboskłonie.

Trwałem już na krawędzi snu, kiedy wybudził mnie pewien dźwięk, obecny od jakiegoś czasu, który jednakowoż dopiero w tym konkretnym momencie dotarł do mnie w całej swej wyrazistości: mianowicie cichutkie i drżące stąpanie jakiegoś gigantycznego stworzenia, wibrujące w całym domu. Nie rozlegało się w nim samym, lecz dochodziło gdzieś ze wschodu, tak że przez chwilę zdawało mi się, iż coś wynurzyło się z morza i spaceruje po mokrym piasku wzdłuż wybrzeża.

Złudzenie minęło, kiedy uniosłem się na łokciach i począłem nasłuchiwać uważniej. Przez moment nie

było słycać żadnego dźwięku, ale za chwilę pojawił się ponownie, nieregularny, przerywany – tupnięcie, przerwa, dwa tupnięcia w krótkim odstępie czasu i osobliwy *cmokający* hałas.

Zaniepokojony wstałem i podszedłem do otwartego okna. Noc była ciepła, nieruchome powietrze niemal parne. Daleko na północnym wschodzie zakreślała na niebie swój świetlny łuk uliczna latarnia, z jeszcze odleglejszego punktu na północy dobiegał niewyraźny warkot aeroplanu. Właśnie minęła północ. Nisko na wschodzie lśniły czerwono Aldebaran i Plejady, lecz z początku jeszcze nie skojarzyłem zasłyszanych przeze mnie odgłosów z pojawieniem się nad horyzontem Hiad.

W międzyczasie natężenie dziwnych dźwięków nie uległo zmianie i miałem wrażenie, że zbliżają się w kierunku domu, aczkolwiek w niezwykle wolnym tempie. Bez wątpienia dochodziły od strony morza\*, gdyż ukształtowanie terenu w tym miejscu uniemożliwiałoby ich usłyszenie z innej strony. Począłem znów rozmyślać o podobnych odgłosach, które słyszeliśmy, kiedy ciało Amosa Tuttle'a leżało w domu, ale nie przypominałem sobie, czy wtedy również Hiady pojawiły się na wschodzie czy w orientacji zachodniej. Jeśli nawet występowały jakieś różnice, nie byłem w stanie ich ustalić aż do momentu, kiedy stąpania rozległy się *bliżej*, mimo że chodziło nie tyle o ich fizyczną *bliskość*, co psychiczną. Owe przeświadczenie było tak silne, że począłem odczuwać narastający niepokój zmieszany z lękiem, nieznośną samotność oraz potrzebę jakiegokolwiek towarzystwa. Dopadłem więc do drzwi wejściowych, otworzyłem je i cicho wyszedłem do holu w poszukiwaniu gospodarza.

Lecz natychmiast dokonałem nowego odkrycia. Kiedy znajdowałem się w swoim pokoju, dźwięki słycać było

---

\* W opowiadaniach H.P. Lovecrafta Arkham nie leżało nad morzem. (przyp. Adam Wiczorek)



bez wątpienia ze wschodu, słabe, prawie nieuchwytnie drgania, zdawały się wręcz wstrząsać starym domem. Stojąc w ciemnościach holu, gdzie wyszedłem bez jakiegokolwiek światła, uświadomiłem sobie, że dźwięki i drzenie promieniowały również od *spodu*, lecz nie konkretnie z jakiegoś miejsca w domu, a – o czym już była mowa – spod niego, jakby z podziemnych otchłani. Tkwiałem w mroku coraz bardziej zdenerwowany, próbując zachować orientację, gdy od strony schodów spostrzegłem emanującą z dołu nikłą poświatę. Bezszelstnie ruszyłem natychmiast ku niej i przechyliwszy się przez poręcz, dostrzegłem, że światło pochodzi z elektrycznej latarki trzymanej w dłoni Paula Tuttle'a. Stał piętro niżej, odziany w szlafrok, choć bardzo dobrze było widać nawet z mojego miejsca, że nie zdjął ubrania. Poblask lampki wydobywał z mroku jego skupioną twarz. Zastygł bez ruchu i nasłuchiwał z przekrzywioną głową, kiedy na niego patrzyłem.

— Paul! — szepnąłem ostro.

Spojrzał na mnie natychmiast i bez wątpienia zobaczył moją twarz, schwytaną w snop światła latarki.

— Słyszysz? — spytał.

— Tak. Co to na Boga jest?

— Słyszałem to już — rzekł. — Zejdź na dół.

Ruszyłem na dolny hol, gdzie taksował mnie przez chwilę przenikliwym i badawczym wzrokiem.

— Nie boisz się, Haddon?

Potrząsnąłem głową.

— Więc chodź ze mną.

Odwrócił się i poszedł na tyły domu, gdzie udał się do piwnicy. Przez cały czas dźwięki się nasilały, tak jakby zbliżały się w kierunku domu, a ściślej mówiąc prawie, jakby były dokładnie pod nim, i teraz oczywistym stało się, że budynek cały drży, nie tylko ściany i fundamenty, lecz i otaczająca go ziemia; jak gdyby jakiś ukryty głęboko podziemny niepokój wybrał sobie ten punkt, by objawić się na powierzchni. Jednak Tuttle się tym nie przejmował, bez wątpienia dlatego,

że doświadczył już tego zjawiska wcześniej. Przeszedł przez pierwszą i drugą piwnicę wprost do trzeciej, położonej niżej niż poprzednie, o widocznie nowszej konstrukcji, lecz tak samo jak dwie pierwsze pobudowanej z wapiennych bloków osadzonych w cemencie.

Zatrzymaliśmy się pośrodku niej i nasłuchiwalismy w milczeniu. Dźwięki stały się już tak intensywne, iż sprawiały wrażenie, że cały dom dostał się pod działanie jakiegoś epicentrum wulkanicznych wstrząsów, o mało co nie rujnujących fundamentów, gdyż drzenie trzeszczących i zawodzących krokwii nad naszymi głowami dowodziło ogromnego naporu znajdującej się wokół ziemi, a kamienna podłoga piwnicy zdawała się ożywać pod moimi bosymi stopami. Ale oto rumory, choć nie ustały całkowicie, zdały się wycofywać do podziemi, pozostawiając po sobie niemal iluzję, gdyż w miarę jak się do nich przyzwyczajaliśmy, nasze uszy wyculiły się na inne dźwięki o wyższej tonacji, które docierały z dołu z ogromnej odległości, niosąc ze sobą diaboliczne tony.

Pierwsze świszczące dźwięki nie były na tyle wyraźne, by uzasadnić lub odgadnąć ich pochodzenie i tak je odbierałem przez jakiś czas, zanim dotarło do mnie, że przechodzą w dziwaczne pogwizdywanie czy skomlenie wydawane przez coś żywego, jakąś rozumną istotę, formułując się w szokujące deklamacje, niezgrabne i niezrozumiałe, pomimo że słychać je było nader wyraźnie. W jednej chwili Paul odłożył latarkę, opadł na kolana i niemal leżąc na podłodze, zaczął nasłuchiwać z uchem zbliżonym do kamienia. Naśladowując go, uczyniłem podobnie, żeby się przekonać, czy dźwięki z dołu składają się na bardziej rozpoznawalne, choć nie mniej przez to bezsensowne sylaby. Przez dłuższą chwilę nie słyszałem niczego poza bezładnym, pozornie niespójnym zawodzeniem, przerywanym chóralnym zaśpiewem przełożonym później przeze mnie jak następuje: *Iä! Iä!... Shub-Niggurath... Ugh! Cthulhu fhtagn!... Iä! Iä! Cthulhu!*

Lecz jak wkrótce miałem się przekonać, myliłem się przynajmniej co do jednego słowa. Samo *Cthulhu* brzmiało wyraźne, pomimo wszechogarniającego, wściekłego jazgotu, ale słowo, które po nim następowało, zdawało się dłuższe niż *fhagn*. Miało dodatkową sylabę, której nie byłem tak do końca pewien, dopóki Tuttle nie wyjął z kieszeni swojego notesu oraz ołówka i ich nie zapisał:

— Mówią: *Cthulhu nafffhagn*.

Wnosząc z błysku ukontentowania w jego oczach, słowa ewidentnie nie były mu całkowicie obce, choć dla mnie nie znaczyły nic. Zdołałem jedynie rozpoznać podobieństwo niektórych z identycznymi wyrazami pojawiającymi się w odrażającym *Tekście z R'lyeh*, a co za tym idzie – w opowiadaniu w magazynie, gdzie zamieszczona translacja sugerowała ich znaczenie: *Cthulhu czeka w uśpieniu*. O wiele bardziej wykształcony filologicznie gospodarz zdał sobie najwyraźniej sprawę z mej dziewczęcej ignorancji, gdyż uśmiechnął się pośępnie i szepnął:

— Nie może to być nic innego, jak forma przecząca.

Nawet wtedy nie od razu pojąłem, co chciał przez to powiedzieć i że podziemnie głosy nie mówią tego, co mi się zdawało, tylko: *Cthulhu już nie czeka śnić!* Nie była to kwestia wiary. To, co się tu wyprawiało nie było ludzkiego pochodzenia i nie dało się uniknąć nawiązania, niechby i luźnego, do niezwyklej mitologii wyłożonej mi niedawno przez Tuttle'a. Zaraz też, jak gdyby ów dowód w postaci tego, czego doznaliśmy i słyszeliśmy, miał nie wystarczyć, pojawił się przyprawiający o mdłości obrzydliwy rybi odór, ewidentnie dochodzący spod porowatego piaskowca.

Tuttle zorientował się prawie jednocześnie ze mną i z niepokojem zauważyłem na jego twarzy wyraz dawno niewidzianego olśnienia. Leżał przez moment cicho, wstał ostrożnie, wziął latarkę i wymknął się chyłkiem z pomieszczenia, wołając mnie za sobą.

Dopiero kiedy znaleźliśmy się na wyższym piętrze, zdecydował się mówić.

— Są bliżej, niż myślałem — rzekł wtedy cicho.

— To Hastur? — spytałem nerwowo.

Lecz on potrząsnął głową.

— To nie może być on, gdyż poniższy pasaż wiedzie jedynie do morza i bez wątpienia częściowo znajduje się pod wodą. Zatem to może być tylko jedna z Wodnych Istot. Ta, która znalazła tu schronienie, kiedy torpedy zniszczyły Diabelską Rafę nieopodal opuszczonego In-smouth – Cthulhu lub coś, co mu służy, tak jak mi-go, którzy usługują w lodowych fortecach czy lud tcho-tcho z ukrytych płaskowyżów Azji.

Nie było mowy o spaniu, zasiedliśmy zatem w bibliotece, a Tuttle opowiadał na wpół śpiewnym tonem o przedziwnych rzeczach, których dowiedział się ze starych ksiąg swego wuja. Czekaliśmy na nadejście switu przy opowieściach o złowrogim Płaskowyżu Leng, Czarnej Kozie z Borów o Tysiącu Młodych, Azathothu i Nyarlathotepie, Potężnym Wysłanniku przemierzającym gwiazdne przestrzenie pod postacią człowieka, diabolicznym Żółtym Znaku, nawiedzonych i bajecznych wieżach tajemniczej Carcosy, strasznym Lloigorze i znenawidzonym Zharze, Śnieżnym Człowieku Ithaqui, Chaugnarze Faugnie i N'gha-Kthunie, o nieznanym Kadath i grzybach z Yuggoth. Rozprawiał całymi godzinami w akompaniamencie złowróźbnych dźwięków, a ja siedziałem zasłuchany i owładnięty śmiertelnym strachem. Strach okazał się jednak nieuzasadniony. Wraz ze świtaniem gwiazdy zbladły, a tumult poniżej stopniowo ucichł, gasnąc na wschodzie w oceanicznych głębiach. Ja natomiast udałem się w końcu do mego pokoju, skwapliwie przygotowując do wyjazdu.

## IV

Zaledwie po upływie miesiąca znów byłem w drodze do posiadłości Tuttle'a w Arkham, w odpowiedzi na pilną depezę od Paula, na której drżącą ręką napisał jedno słowo: *Przyjedź!*. Nawet bez niej poczuwałem się w obowiązku, by wrócić do starego domostwa przy Aylesbury Road, pomimo całej swej niechęci do wstrząsających badań Tuttle'a i realnego strachu, którego nie byłem w stanie opanować. Wstrzymywałem się od podjęcia decyzji i próby odwiedzenia przyjaciela od dalszych badań aż do dnia, w którym nadeszła od niego wiadomość. Tego ranka znalazłem w „Transcript” chaotyczną historyjkę z Arkham, której normalnie wcale bym nie zauważył, a mały, nieprzykuwający wzroku nagłówek brzmiał: *Skandal na cmentarzu w Arkham*, zaś poniżej: *Uszkodzono kryptę Tuttle'ów*. Notka była zwięzła i wyjaśniała niewiele więcej ponad to, co już zawarto w tytule:

.....  
*W godzinach rannych odkryto, iż wandalę włamali się i częściowo zniszczyli kryptę rodziny Tuttle'ów na cmentarzu w Arkham. Jedna ze ścian została zburzona i nie da się jej naprawić, naruszono również trumny. Z doniesienia wynika, iż trumna zmarłego niedawno Amosa Tuttle'a zaginęła, lecz w momencie oddania gazety do druku redakcja nie otrzymała potwierdzenia tej informacji.*  
 .....

Natychmiast po przeczytaniu zwięzłej notatki owładnęło mną silne przeczucie, którego nie potrafiłem uzasadnić, jednakowoż czułem, iż ów akt wandalizmu w krypcie nie był pospolitym przestępstwem i nic nie mogłem poradzić na to, że od razu nasunął mi się jego związek z wydarzeniami w starym domu Tuttle'a. Zdecydowany byłem

już wtenczas jechać do Arkham na spotkanie z Paulem, jeszcze zanim dotarła jego kartka. Informacja od niego jedynie jeszcze bardziej, o ile to możliwe, mnie zaniepokoiła i utwierdziła w obawach, że istnieje jakiś budzący grozę związek między skandalem na cmentarzu a tym, co tkwi w ziemi pod domem przy Aylesbury Road. Jednocześnie coś mnie odstręczało od wyjazdu z Bostonu, owładnął mnie jakiś nieuchwytny lęk przed niewidzialnym zagrożeniem, którego źródła nie mogłem pojąć. Jednakowoż poczucie obowiązku zmusiło mnie do wyjazdu, i jak bardzo bym nie chciał, tak jechać musiałem.

Do Arkham przybyłem wczesnym popołudniem i od razu udałem się na cmentarz w charakterze notariusza, by oszacować wartość wyrządzonych szkód. Na miejscu rozstawiono policyjne straże, lecz po potwierdzeniu mej tożsamości zezwolono mi na oględziny. Przekonałem się, iż opis w gazecie był szokująco nieadekwatny. Kryptę Tuttle'ów zrujnowano niemal całkowicie, trumny walały się w pełnym słońcu, część z nich potrząskano, odsłaniając kości od dawna martwych ludzi. Jedyne, co okazało się prawdą, to że trumna Amosa Tuttle'a zniknęła w nocy i została odnaleziona o południu w otwartym polu, dwie mile na wschód od Arkham, zbyt daleko od drogi, by można było ją tam zawieźć. Później sprawa stała się jeszcze bardziej zagadkowa. Otóż w trakcie śledztwa odkryto pewne głębokie wgniecenia w ziemi rozmieszczone w szerokich odstępach, niektóre o średnicy czterdziestu stóp! Jak gdyby po ziemi maszerował jakiś monstrualny stwór, choć przyznaję, iż ta myśl jedynie mnie zaświtała w głowie. Odciski w ziemi pozostały zagadką, której nie rozświetliły nawet najnieprawdopodobniejsze przypuszczenia dotyczące ich przyczyny. Mogło tak być ze względu na inny, jeszcze bardziej przerażający fakt, który wyszedł na jaw zaraz po odnalezieniu trumny: zniknęło ciało Amosa Tuttle'a, a jego poszukiwania nie dały rezultatu. Tyle się dowiedziałem od dozorcę cmentarza, zanim udałem się na Aylesbury Road,

obiecując sobie, że nie będę o tym myślał, zanim nie porozmawiam z Paulem Tuttle.

Tym razem nie otworzono mi od razu i już zacząłem się zastanawiać, czy coś mu się nie stało, kiedy do mych uszu dotarło ciche szuranie za drzwiami i prawie natychmiast usłyszałem stłumiony głos Tuttle'a.

— Kto tam?

— Haddon — odpowiedziałem i usłyszałem coś, co brzmiało jak westchnienie ulgi.

Drzwi stanęły otworem, a zanim się zamknęły, zdałem sobie sprawę, że w holu panują egipskie ciemności, przeciwległe okno jest zamknięte na głucho, a na długi korytarz nie pada najmniejszy promień światła z żadnego spośród otwartych po obu stronach pokoi. Powstrzymałem się od pytania, które miałem już na końcu języka i odwróciłem w kierunku Tuttle'a. Upłynęła chwila, zanim moje oczy przywykły do nienaturalnej ciemności i udało mi się go dostrzec, a kiedy to już nastąpiło, doznałem szoku. Mianowicie Tuttle zmienił się z wysokiego i wyprostowanego mężczyzny w zgarbionego, ociężałego człeczynę o zaniedbanej i odpychającej aparycji znamionującej wiek osoby znacznie starszej niżli był. Już pierwsze słowa napełniły mnie niepokojem.

— A teraz szybko, Haddon — rzekł. — Nie ma zbyt wiele czasu.

— O co chodzi? Co się dzieje, Paul? — dopytywałem się.

Zignorował to, zmierzając do biblioteki, gdzie ćmiła się blado elektryczna lampa.

— Przygotowałem paczkę z niektórymi najcenniejszymi książkami mego wuja: *Tekstem z R'lyeh*, *Księgą Eibona* i *Rękopisami Pnakotycznymi* oraz kilkoma innymi. Muszą trafić do biblioteki na Uniwersytecie Miskatonic i doręczyć je musisz bezzwłocznie. Od tej chwili staną się własnością biblioteki. Tu jest koperta zawierająca pewne instrukcje dla ciebie, na wypadek gdyby nie udało nam się spotkać osobiście ani skontaktować przez telefon, który zainstalowałem po twojej ostatniej wizycie, do dziesiątej

w nocy. Jak mniemam, zatrzymałeś się w Lewiston House. Teraz wysłuchaj mnie uważnie: jeśli nie zdołam zatelefonować do dziesiątej, postąpisz według instrukcji zawartych w tym piśmie. Radzę działać natychmiast, a gdybyś uznał je za zbyt niezwykle lub trudne do zrealizowania, to właśnie wykonałem telefon do sędziego Wiltona i wyjaśniłem mu, iż pozostawiłem ci kilka dziwnych, lecz istotnych instrukcji i chcę, by je wypełniono co do joty.

— Co się stało, Paul? — spytałem.

Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał to z siebie wyrzucić, lecz w końcu tylko potrząsnął głową i rzekł:

— Nie wiem na razie wszystkiego. Mogę tylko stwierdzić, że popełniliśmy obaj, ja i wuj, straszliwą pomyłkę. I obawiam się, czy nie jest za późno, by ją naprawić. Wiesz, że ciało wuja Amosa zaginęło?

Skinąłem głową.

— Właśnie się znalazło.

Byłem zdumiony, gdyż dopiero co opuściłem Arkham i nie dotarła do mnie taka informacja.

— Niemożliwe! — krzyknąłem. — Nadal go szukają.

— Ach, to bez znaczenia. — Jego słowa zabrzmiały dziwnie. — Nie ma go już. Było w ogrodzie, gdzie zostało porzucone, gdy okazało się bezużyteczne.

Potrząsnął przy tym gwałtownie głową, a z domu doszedł nas szurający dźwięk i chrząkanie. Po chwili wszystko ucichło, a Paul zwrócił się do mnie.

— Kryjówka — wymamrotał i roześmiał się chorobliwie. — Tunel został zbudowany przez wuja Amosa, to pewne. Ale nie była to kryjówka, której chciał Hastur, choć posłużyła sługom jego półkrwi brata, Wielkiego Cthulhu.

Trudno sobie było wyobrazić, że na zewnątrz świeci słońce. W mroku zaciemnionych pomieszczeń w dwójnasób owładnęła mną atmosfera lęku przed czymś, co miało nastąpić, kreując scenerię nierealności dalekiej od świata, z którego właśnie przyszedłem, jeśli nie liczyć zgrozy zdestawowanej krypty.



Wokół Tuttle'a wyraźnie wyczuwało się aurę niemal gorączkowego wyczekiwania połączonego z nerwowym pośpiechem. Wytrzeszczone nienaturalnie oczy lśniły osobliwie, usta stały się zgrubiałe i zaciśnięte, a broda zmierzwiła ponad wszelkie wyobrażenie. Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, po czym zwrócił się do mnie:

— Muszę jeszcze tu zostać przez jakiś czas. Nie zdążyłem podłożyć wszędzie ładunków, trzeba to koniecznie dokończyć — skwitował obłąkańczo, lecz zaraz zaczął mówić dalej, zanim wzbierające we mnie pytania znalazły ujście.

— Odkryłem, że dom spoczywa na sztucznie wytworzonej podwalinie, a pod nami znajduje się nie tylko tunel, lecz całe skupisko w większości zalanych jaskiń... być może zamieszkałych — dodał po chwili namysłu. — To, rzecz jasna, ma w tej chwili niewielkie znaczenie. Nie obawiam się tego, co tam teraz jest, tylko tego, co może nadejść.

Znów przerwał, nasłuchując, gdy ponownie do naszych uszu dotarł niewyraźny, odległy dźwięk. Słuchałem uważnie złowróbnego gmerania, jak gdyby jakieś stworzenie napotkało drzwi i starało się odgadnąć ich zastosowanie. Z początku myślałem, że odgłos dochodzi gdzieś z domu, a jego źródło odruchowo umieściłem na strychu, gdyż słyhać je było z góry, lecz za chwilę zorientowałem się, że dźwięk nie pochodzi ani z domu ani z jego bezpośredniej okolicy, lecz rodzi się gdzieś poza murami i dociera z jakiegoś odleglejszego punktu w przestrzeni — niemrawy i wilgotny, niedający się skojarzyć z niczym rozpoznawalnym i materialnym, lecz raczej z nadejściem czegoś nieludzkiego.

Spojrzałem na Tuttle'a i zobaczyłem, iż również skupiony jest na czymś na zewnątrz, gdyż uniósł głowę i zdawał się wyteżonym wzrokiem przeniknąć otaczające go ściany, zaś w oczach czały się strach i dziwna aura beznadziejnego wyczekiwania.

— To znak Hastura — rzekł ściszym głosem. — Kiedy Hiady wzejdą, a Aldebaran zakradnie się nocą na

nieboskłon, On nadejdzie. Zewnętrzny będzie tu ze swoim wodnym ludem, skrzelowatą, pierwotną rasą... — I nagle zaniósł się bezgłośnym śmiechem, po czym z szelmowskim, na poły oszalałym spojrzeniem dodał: — Wielki Cthulhu i Hastur stoczą tu walkę o schronienie, w chwili gdy Wspaniały Orion wzejdzie ponad horyzont razem z Betelgezą, gdzie przebywają Starsi Bogowie, zdolni jako jedyni pokrzyżować podłe zamysły tego diabelskiego pomiotu!

Jego słowa wywołały bezgraniczne zdumienie na mej twarzy i uzmysłowiły mu moje wahanie oraz wątpliwości, gdyż natychmiast zmienił minę, jego oczy złagodniały, dłonie zacisnęły się i rozluźniły nerwowo, a głos stał się naturalniejszy.

— To może być dla ciebie wyczerpujące, Haddon — rzekł. — Nic już nie powiem, gdyż czas ucieka, wieczór się zbliża i zaraz nadejdzie noc. Błagam, byś nie zastanawiał się nad tymi oto instrukcjami, które dla ciebie w krótkich słowach przygotowałem. Upoważniam cię do bezwarunkowego ich wykonania. Jednak jeśli nastąpi to, czego się obawiam, nawet to może być nadaremne, a jeśli nie, skontaktuję się z tobą w umówionym czasie.

Z tymi słowy wręczył mi pakiet książek i poprowadził w stronę drzwi, dokąd podążyłem za nim bez oporu. Byłem oszołomiony i nie dziwiłem się już ani trochę jego nietypowemu zachowaniu ani tajemniczej atmosferze nadciągającej grozy, która przyłgnęła do tego starego, ponurego domostwa.

W progu zatrzymał się na chwilę i lekko chwycił mnie za ramię.

— Żegnaj, Haddon — rzekł z przejęciem.

Znalazłem się na tarasie, zalanym blaskiem słonecznych promieni, tak oślepiającym, iż musiałem przymknąć oczy, zanim przyzwyczyły się znów do wszechobecnej jasności, a kojący me uszy świergot przycupniętego na drucie telefonicznym drozda, zdawał się całkowitym zaprzeczeniem atmosfery mrocznej zgrozy i nadprzyrodzonego horroru, które zostawiłem za sobą.

## V

Przejdę teraz do tej części opowieści, w którą zagłębiam się niechętnie nie tylko ze względu na wiarygodność tego, co musi zostać wyjawione, lecz także dlatego, iż jest to wyjaśnienie w najlepszym razie zagmatwane, obfitujące w domysły, niezwykle, o ile nie chaotyczne. Zakłada istnienie makabrycznego, odwiecznego zła, pierwotnych bytów czających się tuż poza cienką zasłoną znanego nam życia, zdolnych przetrwać w odosobnionych zakątkach Ziemi. Pojęcia nie mam, jak wiele dowiedział się Tuttle z tych diabolicznych tekstów, które powierzył mej pieczy i za którymi następnie za moim pośrednictwem zatrzasnęły się szafki biblioteki na Uniwersytecie Miskatonic. Niewątpliwie zgodnie z jego obawami wielu rzeczy nie odgadł na czas. Zebrał garść poszlak, choć wątpliwe, czy w pełni zrozumiał znaczenie zadania, którego bez namysłu się podjął, dowiedziawszy się, czemu wołą Amosa Tuttle'a było zniszczenie całego domu wraz z księgami.

Od momentu mojego powrotu na wiekowe ulice Arkham wypadki potoczyły się z niepożądaną gwałtownością. Zdeponowałem paczkę Tuttle'a w bibliotece u doktora Llanfera i natychmiast udałem się do domu sędziego Wiltona, gdzie miałem szczęście go zastać. Zasiadał właśnie do wieczerzy i zaprosił mnie do towarzystwa, na co przystałem pomimo braku apetytu na jakikolwiek posiłek, a wręcz wyraźny do niego wstręt. W tym czasie wszelkie obawy i nieokreślone wątpliwości zagnieździły się na dobre w mej głowie, toteż Wilton od razu zauważył, że moje zachowanie zdradza niezwykle nerwowe napięcie.

— Ciekawa sprawa z tym grobowcem Tuttle'ów, nieprawdaż? — zagał chytrze, odgadując powód mojego pobytu w Arkham.

— To prawda, lecz nawet w połowie nie tak ciekawa, jak okoliczności, w jakich ciało Amosa Tuttle'a wylądowało w jego ogrodzie — odpowiedziałem.

— W rzeczy samej — odrzekł, nie okazując cienia zainteresowania, zaś jego opanowanie pomogło mi w pewnym stopniu odzyskać względny spokój. — Śmiem twierdzić, że przybył pan stamtąd i wie, o czym mówię.

Po tych słowach wyjawiałem mu wszystko, co uznałem za stosowne, pomijając jedynie kilka najmniej wiarogodnych szczegółów, ale i tak nie udało mi się rozwiać całkowicie jego wątpliwości. Był jednakowoż na tyle taktowny, że nie dał mi tego odczuć. Siedział przez chwilę w zamyśleniu, gdy skończyłem, zerkając raz czy dwa na zegar, na którym minęła właśnie siódma. Wkrótce ocknął się z zadumy, sugerując, bym zadzwonił do Lewiston House i poprosił o przekierowanie wszelkich telefonów do domu sędziego Wiltona. Uczyniłem tak natychmiast, odczuwając ulgę, że podszedł do sprawy na tyle poważnie, by poświęcić jej wieczór.

— Co do całej tej mitologii — rzekł od razu po moim powrocie do pokoju — to *może być* uznana za wytwór choroego umysłu Araba Abdula Alhazreda. Celowo powiedziałem *może być*, bo w świetle tego, co wydarzyło się w Innsmouth, nie dam za to głowy. Jednakowoż nie znajdujemy się na rozprawie, żeby bawić się szukaniem dowodów. Teraz głównym zmartwieniem jest Paul Tuttle. Sugeruję, byśmy niezwłocznie sprawdzili jego instrukcje dla pana.

Wyjąłem kopertę i otworzyłem ją. Zawierała jedynie kartkę papieru, na której nakreślono owe tajemnicze i niepokojące wersy:

.....  
Zaminowałem dom i całą resztę. Idź natychmiast,  
bez zwłoki, do bramy dla bydła, na zachód od domu.  
.....  
Tam, w krzewach po prawej stronie drogi, którą na-  
dejdiesz z Arkham, zainstalowałem detonator. Mój  
.....  
wuj Amos miał rację — trzeba to było uczynić od razu.

.....  
*Jeśli mnie zawiedziesz, Haddon, klęę się przed Bo-  
 giem, będziesz winien uwolnienia takiej plagi, jakiej  
 człowiek nigdy nie zaznał i nigdy nie zobaczy po-  
 nownie – o ile uda mu się przetrwać!*  
 .....

Zaczęły do mnie docierać jakieś katastrofalne domy-  
 sły, gdyż kiedy sędzia Wilton uniósł głowę znad kartki,  
 spojrział na mnie zagadkowo i spytał:

— I cóż pan zamierza?

Odpowiedziałem bez chwili wahania:

— Zamierzam wypełnić jego wolę!

Patrzył na mnie bez słowa, jakby pogodził się z czymś  
 nieuniknionym i usiadł.

— Powinniśmy razem poczekać do dziesiątej — rzekł  
 z powagą.

Ostatni, kulminacyjny akt tego niewyobraźnego  
 horroru, miał miejsce w domu Tuttle'a na chwilę przed  
 wybiciem dziesiątej i nastąpił w tak rozbrajająco pro-  
 zaiczny sposób, że objawiona w całej okazałości groza,  
 kiedy już nadeszła, była po dwakroć wstrząsająca i prze-  
 nikliwa.

Pięć minut przed dziesiątą zadzwonił telefon. Sędzia  
 Wilton odebrał natychmiast i nawet z miejsca, gdzie sie-  
 działem, byłem w stanie usłyszeć agonalny głos Paula Tut-  
 tle'a wzywający moje imię.

Wziąłem słuchawkę od sędziego Wiltona.

— Tu Haddon — odezwałem się ze spokojem, które-  
 go wcale nie odczuwałem. — Co się dzieje, Paul?

— Zrób to teraz! — wykrzyknął. — O Boże, Had-  
 don... natychmiast... zanim... będzie za późno. O Boże,  
 schronienie! *Schronienie!* Znasz miejsce... zagroda dla by-  
 dła. O Boże, pospiesz się!...

Wtedy nastąpiło coś, czego nigdy nie zapomnę. Na-  
 głe jego głos uległ zniekształceniu, tak jakby załamał się  
 i wtopił w potworne deklamacje, gdyż dźwięki, jakie dotar-  
 ły przez linię telefoniczną, były surowe i wręcz zwierzęce.

Zanim ostatecznie zamarły, dało się wyłowić powtarzające w nich słowa, zmieszane z triumfalnym bełkotem:

*Iä! Iä! Hastur! Ugh! Ugh! Iä Hastur cf'ayak 'vulgtmm, vugtlagln vulgtmm! Ai! Shub-Niggurath!... Hastur – Hastur cf'tagn! Iä! Iä! Hastur!...*

46

Wszystko urwało się nagle i gdy spojrzałem na sędziego Wiltona, zobaczyłem, że był zdjęty grozą. Za chwilę już go nie dostrzegałem, gdyż w jednej katastrofalnej dla mnie chwili pojąłem to, czego na czas nie dowiedział się Tuttle. Upuściłem telefon i wybiegłem bez nakrycia głowy i płaszcza na ulicę, ścigany zanikającym pośród nocy głosem sędziego Wiltona, wzywającego gorączkowo przez telefon policję. Biegłem z nadnaturalną prędkością w październikową noc przez ciemne ulice przekłętego Arkham aż do Aylesbury Road, w wąską ścieżkę i wrota zagrody dla bydła, skąd przez krótką chwilę, zanim za plecami wybuchł jęk syren, widziałem skryty za sadem dom Tuttle'a, okolony piekielną purpurową poświatą, piękną lecz przesyconą niezmiernym i namacalnym złem.

Wdusiłem dźwignię detonatora i przy wtórce potężnego huku stary dom rozleciał się na kawałki, a tam, gdzie stał, pojawiły się płomienie.

Na kilka oszałamiających chwil zamarłem bez ruchu, zanim uświadomiłem sobie, że drogą od południa domu nadciąga policja. Ruszyłem zatem w ich kierunku, zauważając kątem oka, że eksplozja potwierdziła teorię Paula Tuttle'a: podziemne jaskinie pod domem zapadły się, a połać gruntu nad nimi zsunęła do powstałej wyrwy prosto w objęcia tryskającej z wnętrza wody, gdzie skonały wśród wrzenia i kłębow pary płomienie trawiące szczątki domu.

Wtedy stało się coś jeszcze – ostatni niewyobrażalny horror, którego szczegóły litościwie zatarty się już w mej pamięci. Wśród sterczącego ponad spiętrzoną wodą rumowiska, pośrodku jeziora, gdzie wcześniej stał dom Tuttle'a, ujrzałem formującą się, wielką, protoplazmatyczną masę. Inna istota ruszyła z yciem ku nam przez

trawnik, by za chwilę odwrócić się w stronę owej masy i rozpocząć tytaniczne z nią zmagania, przerywane oślepiającymi eksplozjami tryskających z zachodniego nieba atmosferycznych wyładowań o niezwyklej mocy. Potężne emanacje energii świetlnej objawiały w całej okazałości odrażające szczegóły tego widowiska, zanim błyskawicopodobne wypustki rozpełzły się z serca oślepiającego, świetlnego filaru, porwały wodne masy, uniosły je wysoko w górę i odrzuciły precz w dalekie morze, podczas gdy kolejne pochwyliły z trawnika stwora, ciskając ciemną plamę w niebiosa, gdzie coraz bardziej malała, by przepaść wśród odwiecznych gwiazd! Zapadła absolutna, kosmiczna cisza, zaś tam, gdzie chwilę wcześniej nastąpił ów świetlny fenomen, teraz pozostała tylko ciemność i odznaczająca się na tle nieba linia drzew. Nisko na wschodzie lśniło oko Betelgezy a wśród jesiennej nocy towarzyszył jej Orion.

W tamtym czasie nie wiedziałem, co było gorsze – chaos minionej chwili czy absolutna cisza obecnej. Pierwsze nieśmiałe krzyki przerażonych ludzi przywołały mnie do rzeczywistości i zorientowałem się, że przynajmniej oni nie rozumieją sekretu tej grozy, finalnego przyprowadzającego o obłąd incydentu, genezy owej istoty pojawiającej się w mrocznej godzinie, by śledzić bezdenne głębie umysłu. Mogli słyszeć, tak jak ja słyszałem, cienki, odległy świst lub doprowadzające do szału wycie z niezmiernych głębi kosmicznych przestrzeni, zawodzenie płynące z wiatrem i sylaby spływające z falami powietrza: *Tekeli-li, tekeli-li, tekeli-li...* Z pewnością widzieli też monstrum, które wyległo zawodząc z tonących ruin, zdeformowaną karykaturę istoty ludzkiej, o oczach zaprzepaszczonych w grubej masie łuskowatego ciała, stwora młocącego powietrze pozbawionymi kości kończynami jak macki ośmiornicy, *istoty, która wrzeszczała i belkotała głosem Paula Tuttle'a!*

Nie znali jednak sekretu, o którym wiedziałem tylko ja, sekretu Amosa Tuttle'a, skrytego w cieniu jego ostat-

nich chwil. Rzeczy, o której Paul Tuttle dowiedział się zbyt późno, iż kryjówką pożądaną przez Hastura Nieopisywanego, schronieniem przyobiecanyemu Temu, Którego Imienia Nie Należy Wymieniać nie był tunel ani dom, lecz ciało i dusza samego Amosa Tuttle'a, a gdy one nie spełniły swego zadania, stało się nim żywe ciało i nieśmiertelna dusza spadkobiercy przeklętego domu na Aylesbury Road!





